

WYBRANE  
LEGENDY  
O  
WARSZAWIE

**Zebrał:**  
**mgr Marek Świdorski**

## WYBRANE LEGENDY WARSZAWSKIE

### *Pustelnie Trzech Krzyży*

Razu pewnego, gdy ksiązę Ziemowit, Siemowitem także zwany, zmierzał w stronę swej kasztelańskiej siedziby w Jazdowie, niezwykle zwier mu drogę przeszedł. W innej sytuacji natychmiast wyciągnął by swą łowiecką szabelkę, bo za łowcę doskonałego się uważał, ale na szczęście tak się nie stało. Ciekawość bowiem tak wielka weń wstąpiła, że nie mógł się oprzeć, aby zwierza z bliska nie obejrzeć. Zsiadł więc ze swego rumaka i w ślad za nim ruszył. Niczym jednak nadzwyczajnym się jednak zwier nie okazał - wielkim, brunatnym niedźwiedziem. Zdziwiające jednak było to, co ten niedźwiedź niósł przed sobą, a przy tym jak wyglądał. Idąc na dwóch tylnych łapach, jak to niedźwiedziom zdarza się rzadko, niósł przed sobą na olbrzymich liściach łopianu wielką bryłę miodu, zapewne świeżo z leśnej dziupli królowej pszczoł zabraną. Począł się oczywiście ksiązę zastanawiać na coż niedźwiedziowi tak wielka ilość miodu. Może aby nakarmić gromadę niedźwiedziątek rozbrykanych albo swą samicę czekającą rozwiązania. Zagadkę postanowił Ziemowit rozwiązać i w ślad za brunatnym w bezpiecznej odległości ruszył. Doszedł tak na skraj polany, na której to jego oczom ukazała się mała chata. "Na coż niedźwiedziowi chata i co w niej robi?" - zastanowił się ksiązę. Może na wzór człowieczy niedźwiedzia rodzina osiedliła się w ńcie ludzkim siedlisku. Lecz to się miało wyjaśnić za chwilę, gdy na głośne, znaczące pomrukiwania niedźwiedzia nie jego rozkrzyczana gromada wybiegła, ale trzech dostojnych starców wyszło. Wysocy ale ze względu na wiek mocno pochyleni z długimi brodami w białych, długich, lnianych tunikach i boso. Krążą o nich legendy na całym Mazowszu, iż w samotni w głębokim buszu swój żywot wiodą z dala od ludzi, od świtu do nocy Pana Boga chwalą i dbają o wszystkie leśne zwierzęta. Chętnie również pomocy podróżnym udzielają i bogactwem leśnym tylko się żywią. Jak nie patrzeć święci to zaiste staruszkowie. Niedźwiedź tymczasem podarek na dłonie jednego ze starców złożył i popieszczony odrobinę przez obdarowanych z polany powolnym krokiem i już na czterech łapach odszedł. Tak owa przedziwna scena księcia Ziemowita zauroczyła, że w krzakach przyczajony nie wytrzymując, na polanę wraz z koniem wyszedł. Z wielką radością niespodziewany gość przez leśnych dostojników przywitany został, od razu jadłem i piciem częstowany. O odmowie oczywiście być mowy nie mogło.

Z ciekawości jednak swej wielkiej książę począł staruszków o ich żywot w tej głuszy wypytywać. Z ochotą opowiedzieli mu jak to zwierzęta leśne wszelkiego rodzaju jadła, jakie w skarbcu las posiada donoszą, w zamian staruszkowie leczeniem odwdzięczyć się mogą i wszelką pomocą. I tak oto już przez wiele lat swój szczęśliwy żywot dostojnicy wiada, który nie tylko od pełnego żołądka i napitku zależy. "A od czegoż?" - Ziemowit zapytał. **Szczęście, w receptie mędrców, zależy od dobrych uczynków, do czego każdy człowiek jest zobowiązany. Życie bowiem bez czynienia dobra jest jak cedr bez wina, jak drzewo bez liści, jak dom bez mieszkańców, pełne jałowości. Mądre to stwierdzenie i chwili zastanowienia warte.** Po gościnie i powrocie do Jazdowa, na spotkaniu dworskim książę wszystkim zebranym pytanie zadał: "O czego zależy w życiu szczęście?". Jednak poprawnej odpowiedzi nie było. Czyż możliwe jest, że ludzkość pochodzenia szczęścia nie zna??? Od chwili przedziwnej wizyty w pustelni książę Ziemowit o jej mieszkańcach stale pamiętał. Posyłał mędrcom podarki w postaci koszy pełnych jadła, którego las zapewnić im nie mógł. Lecz oto, pewnego pechowego dnia posłaniec wrócił z pustelni z wieścią straszliwą. Jacyś zbójcy na pustelnię napadli w poszukiwaniu skarbów, które to staruszkowie od księcia niby to ich zdaniem dostawać mieli. Staruszków potwornie kijami zbili i w puszcze powlekli. Na próżno jednak książę natychmiast pościg zorganizował i przez długi czas dostojnych i bliskich sercu mędrców, bądź ich ciał szukał. Zniknęli jak komfora. Z bólem w sercu, a na cześć zaginionych, książę mazowiecki w miejscu pustelni trzy wielkie, drewniane krzyże ustawił. To miejsce od tamtej chwili wszyscy nazywać zaczęli Pustelnią Trzech Krzyży. Od chwili, kiedy to Warszewa w miasto Warszawę się przerodziło, a Jazdów Ujazdowem się stał, Pustelnia Trzech Krzyży Placem Złotych Krzyży nazywać się zaczęła, a później i już do teraz - Placem Trzech Krzyży. Za czasów swego panowania, król August II Mocny od Ziemowitowych krzyży Drogę Kalwaryjską z 28 kaplicami przez obecne Aleje Ujazdowskie do Pałacu Ujazdowskiego poprowadził. A teraz trasa ta i Łazienki Królewskie stają się niestrudzenie wydeptywaną trasą niezliczonej liczby spacerowiczów. Bo gdzież w Warszawie są piękniejsze miejsca niż aleje pełne róż, rozłożystych drzew i krzyku paw królewskich, niż w Łazienkach Królewskich.

### *Kiedy jeden włos może zmienić serce człowieka*

Jak w każdym mieście tak i w Warszawie pełno było drobnych złodziejasków i rzezimieszków, którzy to jednak wcześniej czy później trafiali pod sąd rady miejskiej, a następnie do lochów. Ale był w Warszawie Makary Kulawik, o którego profesji wszyscy wiedzieli nawet daleko poza regionem mazowieckim. Chyba najlepszym był złodziejem, jakiego Warszawa od niepamiętnych czasów w swych murach miała. Cała czas straż miejska była postawiona w pogotowiu aby Makarego na gorącym uczynku złapać. Czyniono to jednak bezskutecznie, bo był mistrzem w swoim fachu. Lecz szczęście wieczne nie jest. O tym przekonać się miał Makary Kulawik na własnej skórze. W swych poczynaniach sięgał coraz dalej i bardziej odważnie. Razu pewnego zakradł się do Świętojańskiej Fary i skarby składane przez wiernych skraść postanowił. Po cóż bowiem drewnianemu Chrystusowi takie skarby, które jego samego uczynią bogaczem na miarę Sapiehy lub Radziwiłła. Kiedy to złodziej już miał schodzić z najwyższej kondygnacji ołtarza, skąd zdejmował złotą koronę Chrystusa, ręka posągu złapała go za włos. I to jak!? - tylko za jeden włos. I mimo usilnych starań, nijak się nie udało Makaremu uwolnić z owej Chrystusowej pułapki. Rano zastał Makarego w ten sposób uwięzionego kościelny Sebastian, który od razu na ratunek wezwał organistę Jacentego, księdza proboszcza i wikarego. Ale oto tłum gapiów mnożyć się począł bo wierni na mszę świętą poranną zbierać się zaczęli. Ale jak tu najszybciej złapanego na gorącym uczynku wielkiego złodzieja ukarać? Wójt Wawrzyniec Krupa łotra zdjąć nakazał i w żelaznej klatce przed ratuszem umieścić. Lecz jakże go zdjąć. Próbowano to zrobić dwóch największych strażników i bezskutecznie. Przypalić ten jeden włos także próbowano, ale bez efektu. Dziw wziął wszystkich, kiedy podsadzona pod włos świeca nie spaliła go, a jedynie lekko smaliła. Cęgami więc do cięcia najgrubszej blachy włos odciąć postanowiono. Ale to cud jakiś, bądź nie daj Boże diabelskie czary tego włosa przeciąć nie dały. Tego już było ze wiele. Z braku rady na zaistniałą sytuację, komuś do łepetyny pomysł wpadł taki, co by do świątyni kata zawołać i na miejscu łotrowi głowę ściąć. Ale od razu bunt powstał - było by to bowiem grzechem śmiertelnym krwią grzeszną ściany świętego miejsca kalać. **Do tej pory cicho siedzący wikary wpadł na pomysł taki, aby łotrowi w konsekwencji grzech i winę wybaczyć, i na wolność wypuścić, mówi się bowiem "(...) odpuść nam nasze winy jako i my**

**odpuszczamy naszym winowajcom (...)"**. Radę postanowiono wypróbować od razu i od Makarego groźny tłum odstąpił. Posąg Chrystusa palce na włosie lekko rozluźnił i Makary został uwolniony. I stało się to, czego nikt raczej wcześniej przewidzieć nie mógł. Makary Kulawik spod Gnojnej Góry się nawrócił. Za uczciwie zarobione pieniądze w warsztacie płatnerskim u mistrza Szymona pomagał biednym i niedołącznym. A jego dzieła, wykonywane bardzo zręcznie i kunsztownie złodziejskimi palcami były znane nie tylko na całym Mazowszu i w całej Polsce, ale i w samej Pradze, Kijowie, Wiedniu, Paryżu, Madrycie czy Rzymie. A co się działo w Świętojańskiej Farze i z posągiem Chrystusa? W czasie Insurekcji Kościuszkowskiej wszystkie tamtejsze skarby zostały przetopione i ofiarowane Narodowi. W czasie okrutnej wojny, posąg ukryty został w podziemiach dominikańskiego kościoła Świętego Jacka. Na swoje pierwotne miejsce Cudowny Pan Jezus powrócił dopiero w 1948 roku, prowadzony parotysięczną procesją i umieszczony w kaplicy Baryczków, gdzie oczywiście znajduje się do dziś.

### *Jak Maćko Kwasiżur diabła Chmielorza ośmieszył*

Każde z miast państwa polskiego XVI wieku miało swego bohatera, miejscowego wielkiego rycerza. Miał Kraków, miało Gniezno, miała i Warszawa. Był nim Maćko Kwasiżur, służący w straży wojewodowej. Maćko nie tylko swoje bohaterstwo i siłę na polach bitew udowadniał, ale i z siłami nieczystymi również. A sława o nim rozeszła się po pewnym zdarzeniu. Razu pewnego w gospodzie na rogu Piekarskiej i Piwnej Maćko Kwasiżur wśród znajomków siedząc począł się wychwalać jako to niby z każdym odważnym radę sobie da, ale nawet samemu diabłu poradzi. I chyba w złej chwili słowa te wyrzekł. Wiadomo bowiem, że wszędzie tak i Warszawa od diabłów czyhających w każdym rogu nie jest wolna. Jedne szlają się po ulicach do zła nakłaniając, inne dzieci porywają i ogniem smalą, a jeszcze inne w karczmach i knajpach przesiadują i do zła popychają. I tak to z długą brodą, ognistymi oczami i rogami wystającymi z włochatej łepetyny nagle z rogu karczmy, gdy Maćko swe przechwałki słał, wyskoczył diabeł Chmielorz. Wszyscy w panikę wpadli, pod stoły i po kątach się pochowali. Diabeł przechwałki Maćka słyszał lecz jeszcze raz dla pewności o powtórzenie ich poprosił, prosto w oczy. Maćko swą faktyczną odwagę ukazując jeszcze raz diabła i jego ognistych braci epitetami obsypał, zapewniając jednocześnie, że przechytrzyć ich to jak pstryknąć palcem. Aby nawzajem swoją odwagę udowodnić obaj zakład postanowili podjąć. Najpierw sędziego w osobie wójta Starej Warszawy Pankracego wybrano i nagrody dla obu za wygraną ustalono. Rycerz ze swej strony swój drogi muskiet postawił a diabeł Chmielorz sakiewkę złota, dzban miodu i dziesięcioletnią, wierną służbę. Jeszcze przed postawieniem zakładu Maćka o opamiętanie proszono, nikt bowiem wierzyć nie chciał, iż uda mu się fortel z diabłem samym. I Maćko Kwasiżur i diabeł Chmielorz jednak tak poważnie do zakładu podeszli, że nijak od tego odwieść się nie dali. W końcu i Maćko i sam temat zakładu przedstawił. Diabeł Chmielorz z ławy stojącej pośrodku sam wstać niby nie będzie mógł z jakiegoś to tajemniczego powodu. Wszyscy na ten zakład wielkie oczy wybałuszyli, a chyba najbardziej sam diabeł, na tak banalny zakład. Jak to diabeł Chmielorz, ze swymi diabelskimi możliwościami i mocą nie będzie mógł wstać bez żadnych utrudnień z prostej ławy??? Maćko tymczasem tylko ręce zatarł, obok diabła na ławie zasiadł i czekał. Diabeł zwycięstwa pewien z tryumfem na ławie zasiadł i na zakończenie tej parodii również czekał. Rycerz dla pewności i zapamiętania jeszcze raz treść zakładu wyraźnie powtórzył: "sam diabeł z ławy nie wstanie i to może przez godzinę bądź więcej" i rozpocząć zakład dla sędziego rozkazał. Wstał zatem powoli

a następnie podskakiwać na ławie diabeł zaczął z przekonaniem, że zakład wygrał, i nie tylko dla niego małowcenny muszkiet rycerza ale jego duszę. Ale nie zauważył i diabeł i zgromadzeni, iż wraz z nim wstawał i siadał ponownie także Maćko, siedzący przecież obok. I tu się nie sprawdza powiedzenie, iż łatwiej słoniowi przejść przez ucho igielne niż człowiekowi jakiegokolwiek diabła przechytrzyć. Maćko jeszcze raz wyraźnie treść zakładu zgromadzonym i diabłu powtórzył, jako to sam diabeł z ławy wstać nie miał, co też się stało, bo wraz z Chmielorzem wstawał także on, Maćko Kwasiżur. Dopiero teraz zebrani zrozumieli, na czym ten przebiegły zakład polegać miał. I chyba sam diabeł w końcu pojął. Został przez Maćka zrobiony na dudka, nabity w butelkę i to przez kogo, przez jakiegoś tam dragona. Maćko z garncem miodu, nabitą sakiewką i rogatym lokajem wyjechał z Warszawy dziękując za służbę wojewodzie. Zajął się Maćko kupiectwem, a dokładnej przepływem przez Wisłę towarów w Warszawy do Gdańska. A o towary był spokojny. Czuwał nad nimi bowiem sam diabeł. A zdarzało się wiele razy, że zbóje napadając na konwój i widząc na straży diabła uciekali w popłochu nogi nawet za sobą gubiąc.

### Legenda o syrence

Dawno dawno temu przyплыły z Atlantyku na Bałtyk dwie siostry - syreny; piękne kobiety z rybimi ogonami, zamieszkujące w głębinach mórz. Jedna z nich upodobała sobie skały w cieśninach duńskich i do tej pory możemy ją zobaczyć siedzącą na skale u wejścia do portu w Kopenhadze. Druga dopłynęła aż do wielkiego nadmorskiego portu Gdańsk, a potem Wisłą popłynęła w górę jej biegu. Podobno właśnie u podnóża dzisiejszego Starego Miasta wyszła z wody na piaszczysty brzeg, aby odpocząć, a że miejsce spodobało się jej, postanowiła tu zostać. Rychło rybacy zauważyli, że ktoś podczas ich połowu wzburza fale Wisły, płacze sieci i wypuszcza ryby z więcierzy. Ponieważ jednak syrena oczarowywała ich swym pięknym śpiewem, nic jej nie zrobili. Pewnego razu bogaty kupiec zobaczył syrenę i usłyszał jej piękny śpiew. Szybko przeliczył, ile zarobi, jeżeli uwięzi syrenę i będzie ją pokazywać na jarmarkach. Podstępem ujął syrenę i uwięził ją w drewnianej szopie, bez dostępu do wody. Skargi syreny usłyszał młody parobek, syn rybaka i z pomocą przyjaciół w nocy uwolnił ją. Syrena z wdzięczności za to, że mieszkańcy stanęli w jej obronie obiecała im, że w razie potrzeby oni też mogą liczyć na jej pomoc. I dlatego warszawska syrena jest uzbrojona - ma miecz i tarczę dla obrony naszego miasta. Tyle legenda. Nie wiadomo skąd syrena wzięła się w herbie Warszawy, w każdym razie była w nim już w II poł. XVI w. Tylko, że wtedy syrena to był stwór z tułowiem ptaka, rękami, ogonem ryby i nogami ptasimi zakończonymi pazurami; prawdopodobnie średniowieczni mieszkańcy miasta nasłuchali się opowieści o dziwnych stworach żyjących w zamorskich krainach, a opowieść o syrenach szczególnie im się spodobała.



### *O nadwiślańskiej biedzie i gnacie wołowym*

Historia powyższa miała miejsce za panowania młodszego z synów Zygmunta III Wazy - Jana Kazimierza. Ale nie ma to dla opowieści jednak większego znaczenia. Żyło sobie w grodzie warszawskim dwóch braci Orzeszków od jednego ojca urodzonych lecz różne życie wiodących. Bartosz, starszy z braci był zamożnym rzeźnikiem mieszkającym w willi przy Krzywym Kole, a Walery - młodszy z braci - wiódł życie ubogiego piaskarza. Mieszkał w małej drewnianej i rozwalającej się chacie na nadwiślańskich Rybakach. Bartoszowi z dnia na dzień brzuch i sakiewka w zadziwiającym tempie się powiększały - ciągłe bowiem zamówienia z kuchni królewskiej dawały duże dochody. Piasek zaś z dna Wisły wydobywany przez Walerego wielkiej wartości nie miał, a i towarem droгим nie był. Stąd też życie młodszego Orzeszka było nawet gorsze od życia myszy kościelnej w klasztorze Dominikanów. Pewnego dnia, Walery wracając z parodniowej pracy spod samego Kazimierza, wpadł swą marną łodzią w wir rzeczny i cały swój dorobek w postaci jednego złotego talara w nurcie stracił. Na próżno w swej rozpaczycy kilka razy nurkował w poszukiwaniu jakże cennego, bo jedyne, zarobku. Zniknął talar jak przysłowiowy "kamień w wodzie". Siadł więc biedak na brzegu i rzewnie zapłakał. Wtem jakiś głos, nie wiadomo skąd się wydobywający, zagadnął płaczącego przysłowiem: - Pech z biedą zawsze w parze chodzą. Dnia następnego z samego rana, żonie swojej nic nie mówiąc Walery białą koszulę na kark włożył i na gościnę weselną do swego rodzzonego brata bogacza się wybrał. Pomyślał, że przy takiej uroczystości brat gościny w domu nie odmówi. A w krok za Walerym wychudła, wręcz przeźroczyta Bieda warszawska wyruszyła, która to biedaka strasznie jak widać polubiła, bo trzymała się go jak "rzep psiego ogona". To dzięki tej Biedzie stracił Walerek ów cenny talar, łódź, jedyną żywicielkę rodziny - Kozulę, a nawet kury kokosze, które zostały skradzione. Skryła się Bieda za pazuchą Walerka i na ucztę weselną także dostać się chciała. Z uczyty jednak nic nie wyszło. Bartosz przez posłańca bratu wielką, gołą kość wołową posłał wraz w wyzwiskami, że darmozjadów i gołodupców karmić nie będzie. A samą kość dostaje tylko na wzgląd, iż od jednej matki ponoć pochodzą, kwitując to przysłowiem "kto grosza nie strzeże, temu diabeł go odbierze". Cóż miał na to Walerek poradzić. Podzielił się marną zdobyczą z Biedą, która to na widok kości aż trząść się poczęła. Sam zdrapał pozostawione resztki na wierzchu kości, a Biedzie pozostawił szpik, równie smaczny. I kiedy to Bieda zajadała się owym szpikiem we wnętrzu kości, wpadła do głowy Walerka myśl niezwykła: "a może tak pozbyć się Biedy na zawsze

zamykając ją we wnętrzu kości?". Jak pomyślał, tak też się i stało. O jakże Bieda prosiła, błagała o wypuszczenie, a ileż bogactw w zamian obiecywała. Ale Walerek był nieugięty. Gnat z warszawską Biedą do studni na końcu Nowej Warszawy wrzucił, gdzie nikt nigdy nie zagląda i Biedy nigdy nie znajdzie. Od kiedy Walerek Biedy się pozbył, wieść mu się poczęło całkiem nieźle. I godziwą zapłatę za swoją pracę dostawać zaczął i nijakie nieszczęścia go już nie nawiedzały, a pieniędzy miał tyle, że nawet biedakom i kalekom mógł jakiś grosz zawsze rzucić. Odmiana losu brata biedaka bardzo zainteresowała brata bogacza. Poszedł więc z wielką ciekawością w sercu i szynką pod pachą Bartosz na wypytki do Walerego. A nic tak nie rozwiązuje języków jak dobre jadlo i picie, którym to już mógł Walery uraczyć swego bogatego brata. Piaskarz nic do ukrycia nie miał, więc całą historię bratu opowiedział. I tu w głowie rozgoryczonego Bartosza Orzeszka zrodziła się myśl obrzydliwa, aby Biedę warszawską uwolnić i bratu w bogaceniu się przeszkodzić. Jak się okazuje, zawiść bywa silniejsza od miłości braterskiej. Tymczasem złośliwy plan rzeźnika się nie powiódł. Kiedy to otwierając kość tuż pod drzwiami chaty piaskarza, Bieda wymknęła się małą szparką i radośnie na ramieniu wybawcy się rozsiadła. Na szczęście Walerka a na nieszczęście Bartosza temu drugiemu dożgonną miłość i służbę za wybawienie przysięgła. I oczywiście tej przysięgi dotrzymała. Nie minęło dużo czasu jak Bartosz Orzeszek bogactwo stracił i stał się jednym z biedaków zasiadających przed Świętojańską Farą. Mogło się tak również stać, że Bartosz stał się podopiecznym Walerka, który przez na wzgląd na swoją dawną biedę - biedaków wspierać zaczął. Minęły lata i wieki i powoli o historii braci Orzeszków zapomniano w Warszawie. Jednak po owych czasach pozostało kilka przysłów. O kimś, kto nadmiernie narzeka na swój los, mówi się że "piszczy jak nadwiślańska bieda w gnacie wołowym". A gdy przysłowie wyszło poza obręb Warszawy, skrócono je do: "piszczy jak bieda w gnacie". Obecnie jednak na stronach ksiąg z przysłowiami na wspomnienie owej historii, pozostały tylko dwa krótkie: "piszczy jak bieda" oraz "bieda aż piszczy". I jeszcze coś zostało! Została sama Bieda. Ale o niej może innym razem?

## PRZEDZIWNA OPOWIEŚĆ O WARSIE I SAWIE

Z nowej stolicy, Krakowem zwanej do starego przodków Gniezna dwie, jakże różne wiodły drogi. Jedna prowadziła lądem, poprzez dzikie puszcze i knieje, pełne według twierdzeń naocznych świadków okrutnych diabłów, paskudnych wiedźm i ponętnych, kuszących, a jakże zdrażliwych panien głębinowych. Druga wiodła rzeką Wisłą, spod samego krakowskiego Wawelu aż do odległego Płocka, skąd do Gniezna był tylko rzut patykiem, który najczęściej przemierzano już na wierzchowcach. Tę drugą drogę wybrał król Kazimierz Odnowicielem zwany, na coroczną podróż do Gniezna. Już drugiego dnia wyprawy wielce zatęskniło się królowi do świeżego i pachnącego jedzenia, bo jak każdy Słowianin dobrze jeść lubił, a zrobione jeszcze w Krakowie na drogę suszone jedzenie do najsmakowitszych nie należało. I kiedy o świeżym mleku i świeżej rybie tylko pomyślał, na horyzoncie ujrzał dym, a za chwilę małą chatę. Wbrew przestrogom załogi wioślarskiej co do mieszkańców chaty, król do brzegu przybić kazał i ostrożnie z łukiem w ręku w jej stronę kroki skierował. Daleko sam nie uszedł, bo zaraz za nim, jak kot skradał się jego wierny sługa Gniewko, który zarzekał się jeszcze niedawno iż "w niepewne, ręce zbójów nie polezie". Kiedy podeszli bliżej, chata okazała nie żadną zbójceją, tylko zwykłą chatą rybacką. Gospodyni bardzo serdecznie przywitała niespodziewanych gości, poczęstowała dostojnika świeżym mlekiem od właśnie wydojonej kozy, a na rybę poczekać radziła, mąż bowiem - Pietrko Rybak - lada chwila z nocnych połowów miał wrócić. Na Pietrka długo czekać nie było trzeba, tak jak przewidziała gospodyni z pełnymi kosztami różnorodnych ryb przybył. W trakcie spożywania wyśmienicie przyrządzonych owoców nocnego połowu, jakich jeszcze król w życiu nie jadł opowiedział rybak o swojej rodzinie, która w ostatnim czasie powiększyła się o dwoje cudownych bliźniąt. Jednak nie małe kłopoty mieli rodzice z ochrzczeniem pociech. Świątyni bowiem w pobliżu nie było, a do pobliskiej wsi Bródno kapłan przybywał rzadko, a że do bródnowskiej kaplicy tuż przed urodzeniem bliźniąt do kolejnej wizyty minie sporo czasu. Król za wspaniały poczęstunek monety złote na stół gospodarzom położył, uznał, że za tak dobre jedzenie się zapłata należy. Jednak zgodnie ze starym ludowym zwyczajem i zasłaniając się przysłowiem "Gość w dom, Bóg w dom" gospodarze zapłaty nijak wziąć nie chcieli. Tymczasem nie omieszkał król o jeszcze dwie przysługi poprosić: o gościnę w drodze powrotnej z Gniezna i o zaszczyt bycia ojcem chrzestnym bliźniąt na chrzcie, do którego sam miał doprowadzić. Jak obiecał, za dwa miesiące, we wrześniu przybił do brzegu już nie jedną, ale kilkoma łodziami jakże

oczekiwany przez Pietrka Rybaka i jego żonę. Przybył jak obiecał z kapłanem, dostojnymi gośćmi, którzy mieli swoją obecnością uświetnić uroczystość oraz darami dla obydwojga przyszłych królewskich chrześniaków. Przed przygotowanym na wzgórzu ołtarzem kapłan nadał na polecenie Kazimierza imiona Wars chłopcu, a dziewczynce - Sawa. Po uroczystości, przy suto zastawionym stole oświadczył uroczyście król Kazimierz, iż odtąd Pietrko Rybak, Piotrem Warszem nazywany będzie, królewskim rybakiem, ojcem Warsa i Sawy, właścicielem rozległej dookoła puszczy. A kiedy wokół zagrody rybackiej osada wyrośnie, swoim rodowym imieniem nazwę jej nada, którą po wieki nosić będzie. Jednak do dziś uczeni nie są do końca pewni pochodzenia słowa Warszawa. Jedni twierdzą, iż wzięło się od imion legendarnych bliźniąt Warsa i Sawy. Drudzy, iż od Pietrka Rybaka, któremu król Kazimierz nazwisko zmienił na Piotr Warsz i jak król przewidział, wokół gospodarstwa wyrosła wieś. Wieś Warsza czyli Warszewa. I pod taką nazwą przetrwała Warszewa do czasów Jagiellończyka - Zygmunta Augusta, kiedy to sam Jan Kochanowski uraczył nas w swym kunszcie słowotwórczym, fraszką "Na most warszewski":

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,  
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;  
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,  
A ty musisz tę swoje dobrą myśl położyć,  
Bo krom wioseł, krom prumów już dziś suchą nogą  
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.

Zebrał i przygotował:  
mgr Marek Świdorski